

Justyna Hankus
Rafał Kosik
Radek Rak
Wit Szostak



BOŻE NAWIEDZENIE



powergraph

**Justyna Hankus
Rafał Kosik
Radek Rak
Wit Szostak**

Boże nawiedzenie



powergraph

Warszawa 2023

Cienki splachetek zluszczonej farby oderwał się z cichym szelestem i spłynął w dół. Zostawił po sobie jasny rewers, który uzupełnił kształt na ścianie o kolejny element. Na zniszczonej posadzce, niczym łupież olbrzyma, zalegały spadłe płatki, a wiatr wpadający przez szpary w oknach rozdmuchiwał je po całym pomieszczeniu. Połyskiwały w świetle sączącym się przez szybę. Pełnia przysłała z niżej, który powoli gromadził śniegowe chmury, nagarniając je w granatowe wydmy, wiatr podnosił się i opadał, od czasu do czasu świszcząc w gałęziach i trzaskając niedomkniętym na dole oknem.

Mrok zalegający w kątach pokoju podpełzł w górę, liznął, mlasnął.

— Sam żeś zjadł? — Niepozorna górka szmat przekręciła się na drugi bok i uniosła głowę, podpieirając się na łokciu.

— Ty, zobacz, jaki pokrak.

— Ja się pytam.

Zarośnięty mężczyzna w grubej czapce siedzący na podłodze odkroił schludnie kawałek słoniny i podał na nożu. Z kłębowiska swetrów i koców wyłoniła się drobna kobieca ręka. Postać usiadła i nie wstając, podsunęła się, oparła o ścianę.

Przeżuli słoninę zgodnie, w tym samym tempie.

— Mnie się zdaje, że tam ma łeb, a tu, o! nogę.
— Mężczyzna wskazał nożem i obrysował w powietrzu kształt.

Kobieta zabulgotała niewyraźnie.

— Jakiś taki jest, czy ja wiem? Rozciągnięty — dodał.

— Bo tam ma łeb, a nie tak, jak pokazujesz. —
Kobieta przełknęła słoninę.

— No... może...

Milczeli chwilę, po czym odezwała się ona:

— Pójdziemy po drzewko?

— Teraz? — Mężczyzna spojrział w okno, za którym zapadał grudniowy zmierzch. — No, w sumie możemy iść, jak masz siłę. Wrócimy, to rozpalę i zjemy zupę.

Dziurawa droga biegła od dworu w dół do połamanej bramy. Za nią zaczynały się nieużytki, kiedyś pola pełne pszenicy, aż po horyzont, po granicę

miasteczka, którego światła podbarwiały już niebo na żółto. Za domem ciągnął się zdziczały sad, stare drzewa stały połamane i pokurczone jak staruszki, rozcapierzonymi gałązkami łapiąc za ubranie, gdy przechodziło się zbyt blisko. Warzywnik zaznaczony przekrzywionym płotem był wdeptany i prze-ryty chyba przez dziki, ale nie dało się już poznać, co tu kiedyś rośło.

Centralną część ogrodu zajmowała sadzawka z kamienną rzeźbą ni to dziecka, ni anioła, ni motyla. Stał w betonowej misie na wodę, pełnej zgniłych liści i zarośniętej poczerniałym mchem.

Ludzie z miasteczka mówili, że dom należał do bogacza, który pewnego dnia zniknął czy wyjechał, ale jak, gdzie – nikt nie widział ani nie wiedział. Został tylko służący, który wyczekiwał swojego pana, utrzymując obojętnie w porządku, póki sam nie umarł. Znaleźli go przypadkiem grzybiarze, którzy idąc do lasu, mijali dwór. Siedział w progu ze starą strzelbą na sól, obgryziony do kości przez lisy i ptaki.

Mężczyzna i kobieta wyglądali w półmroku jak ruchome kopki siana, większa i mniejsza; ubrani we wszystko co mieli, poruszali się niespiesznie i czujnie. On szedł przodem i trzymał ją za rękę, ona patrzyła pod nogi, nie chcąc się potknąć.

Przeszkadzał jej duży brzuch, wyraźnie odstający od sylwetki mimo wielu warstw obszernych ubrań.

Wyszli przed bramę i skręcili w wydeptaną, gliniastą ścieżkę. Gdzieś z daleka zerwał się ptak, jeden, za nim drugi, usłyszeli furkot skrzydeł.

Kobieta nagle stęknęła i zatrzymała się. Partner odruchowo ścisnął jej dłoń.

— Co jest? — zapytał, a nutka przestachu podskoczyła między „o” a „jot”.

— Nic, nic — odparła, ale pochyliła się, uginając kolana.

Sapnęła.

— Ale mnie kopnęło w wątrobę... — dodała. — Już dobrze.

Mężczyzna poszukał pod czapką jej oczu; zajrzał, by upewnić się, że mówi prawdę. Dmuchnęła w wystający kosmyk i poklepała go uspokajająco po ramieniu. Ruszyli w stronę młodnika.

— Myślę, że powinniśmy przenieść się do miasteczka — zaproponował mężczyzna.

— Nie ma mowy, nie wracam do tej piwnicy. Tu jest jasno, sucho i można rozpalić w pokoju — odpowiedziała szybko, podnosząc głos.

— Ja wiem, ale tam byłoby bezpieczniej.

— A jak ktoś doniesie, że dziecko w drodze? Idź, nie gadaj!

— Marysiu...

— No idźże!

Ruszył, pociągając ją za sobą, aż doszli do lasu, na którego skraju rosły młode świerczki i brzozy. Stanęli i rozglądali się. Las pachniał sobą, a zapadający zmrok ścielił się kłębiastą pierzyną między drzewami. Wiatr ucichł zupełnie, nie było słychać zwierząt ni ptaków i wtedy z nieba zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu. Kręciły się chwilę w powietrzu, osiadały nieśmiało, by zaraz stopnieć. Stali w tym młodniku jak urzeczeni, jak olbrzymy wystające nad drzewa. Mężczyzna ocknął się pierwszy.

— To może to — wskazał na zgrabny świerczek sięgający mu kolan.

Kobieta, która stała z uniesioną twarzą, łapiąc płatki na policzki, spuściła głowę i spojrzała we wskazanym kierunku. Złożyła ręce na brzuch i odezwała się cicho:

— Wiesz co, Krzysiu, a może zostawmy... szkoda psuć.

— Znaczy, że co? — Krzyś rozłożył ręce i uniósł pytająco ramiona.

— Znaczy, nie ścinajmy.

Przełożył zardzewiałą siekierkę do drugiej ręki i objął Marysię ramieniem.

— Żeś wymyśliła...

Wracali, targając gałąź sosny, którą znaleźli niedaleko młodnika. Gdy doszli do domu, świat przykryty białą warstewką śniegu wyglądał jak nieprawdziwy. Weszli do środka, pociągając nosami i otupując buty ze śniegu; dom przywitał ich cichym westchnieniem; przez korytarz przeleciał szmer ni to śmiechu, ni płaczu, trzasnęło okno.

Krzyś docisnął drzwi wejściowe; żeby zmniejszyć szparę, przystawił je potarganym fotelem bez siedziska. Potem weszli na piętro po kręconych schodach z poręczami o ozdobnych tralkach, omijając piąty stopień z dołu, który miał dziurawą deskę. Wielki księżyc wspinał się coraz wyżej i świecił coraz jaśniej, a ze ścian korytarza obserwowały ich ślepe prostokąty pozostałe po obrazach.

Pokój, który wybrali, nie był najmniejszy, ale nadawał się najbardziej. Najpierw wspólnie zaczęli przyniesioną gałąź o haki wbite między okna; Marysia ozdobiła ją kawałkami czerwonej włóczki oderwanej z poprutego swetra. Krzyś ułożył na stosiku przygotowane drewnienka i nad paleniskiem postawił ruszt skonstruowany z kratki z zapadłego kominka. Zaczął się krzątać wokół jedzenia, dobierając z drewnianej skrzynki zdobyte wcześniej produkty.

Marysia ściągnęła czapkę i usiadła na legowisku pod ścianą. Oddychała równo, odpoczywając i gładząc się po brzuchu. Płomienie rozjaśniły i ogrzały pomieszczenie. Ogień podskakiwał, poruszając zgromadzone w pokoju cienie i wtedy kobieta spojrzała wyżej na ścianę. Stamtąd, podbite jaskrawym kolorem ognia, patrzyły wprost na nią ogromne, zdziwione oczy.

Krzyknęła zduszonym głosem i odruchowo cofnęła się te kilka centymetrów, które dzieliły ją od gołych cegieł. Krzyś chwycił siekiere i skoczył przed siebie. Jeszcze nie wiedział, z czym będzie się mierzył. Spiał się w sobie, gotów na starcie. Ale starcie nie nastąpiło. Dostrzegł źródło strachu kobiety w otworze w połowie wysokości ściany. Opuścił siekiere.

— Jesteś wreszcie — stwierdził ze złością. — Co mi kobitę straszysz?! Nie potrafisz wejść jak człowiek?

— Drzwi żeś czymś przystawił — odparł właściciel zdziwionych oczu. — Jo myślał, że bedziesz som.

— Masz to?

Intruz nie odpowiedział, gramolił się już z dziury. Krzyś mógłby mu w tym pomóc, ale nie zrobił tego.

Patrzył tylko, trzymając siekierę tak od niechcienia, ale jednak nie odłożył jej. Otwór mógł być śladem po przypadkowym trafieniu z czasów poprzedniej wojny, ale mógł też być czymś zupełnie innym. Pewne było jedno – bardzo niewygodnie się stamtąd gramoliło. Szczególnie jeśli dźwigało się spory ciężar zawinięty w szmatę.

Chłopak w wieku trudnym do określenia z powodu umorusania i okutania w niepasujące do siebie elementy ubioru zimowego zeskoczył na coś, co kiedyś było parkietem. Teraz wałały się tu pojedyncze klepki, których nie spalili w czterdziestym czwartym żołnierze Armii Czerwonej ani po które nie chciało się schylić szabrownikom. Do rana i one zasilą ognisko.

— Masz? — powtórzył pytanie Krzyś.

— Nie było letko. — Chłopak rozwinął szmatę.

— Sklepy puste. Wojsko konfiskuje wszystko.

W świetle płomieni ujrzeli pudełko z dwoma metalowymi wypustkami, wyraźnie oznaczonymi plusem i minusem.

— Proboszcz będzie nierad, kiej mu rano lexus nie zapruczy — dodał, łypiąc chytrze na mężczyznę.

Krzyś wziął akumulator i z pewnym wysiłkiem postawił obok barłogu.

— Nie wytrzeźwieje do rana. — Machnął ręką.

— No, to jeszcze bardziej się wkurzy.

Krzyś wyciągnął z leżącego obok wojskowego plecaka małą porysowaną walizeczkę, taką wzmocnioną, po której – wedle zapewnień producenta – można by bez żadnych konsekwencji przejechać ciężarówką. Otworzył ją i podłączył kablami do akumulatora. Ekran komputera rozświetlił się, klawiatura ożyła, w górę wysunęły się trzy anteny.

Chłopak spojrział na te cuda, potem na wyraźny brzuch Marysi. Marszczył czoło coraz bardziej.

— To jest ten sonar do dzidziów? — zapytał. — Ten, że co jakiś bachor nie taki, to wtedy do kibla?

— A weź spierdalaj — odezwała się wreszcie Marysia.

Krzyś wyciągnął z kieszeni, nie bez trudu i nie bez chwili wahania i żalu, kilka banknotów.

— Proboszcz będzie zły, a ty się postaraj, żeby nie wiedział na kogo. — Wepchnął chłopakowi banknoty w zmarzniętą dłoń. — I trzymaj gębę na kłódkę.

— Ja tam do rozmowy ostatni. Ale... co to jest?

— Idź już, co? I wracaj lasem, nie drogą, żeby nikt cię nie widział. I nie wydaj wszystkiego w jedną noc.

Chłopak w odpowiedzi ni to parsknął, ni to kwiknął. Jak dzieciak, któremu powiedziano właśnie, że ma pilnować ciastek, upieczonych dla jutrzejszych

gości. I już go nie było, już czmychnął. Kroki załomotały na schodach, na dole trzasnęły drzwi.

— Znam ja takich — powiedziała cicho Marysia.
— Do rozmowy ostatni, do wódki pierwszy. Po czwartym kieliszku zacznie paplać i się przechwalać. Wyda nas, sprzeda nas za kolejkę. Przyjdą i zabiorą nam dziecko.

Krzyś zerknął na zegarek ukryty pod postrzępionym mankietem. Kilka rzędów cyfr przeskakiwało w sposób całkowicie niezrozumiały dla przeciętnego śmiertelnika.

— Nawet jeżeli, to nie przyjdą tu nocą w taką pogodę. Odłożą to do rana.

Usiadł, objął ją ramieniem. W miarę jak wiatr się nasilał, robiło się zimniej. Białe płatki wpadały przez dziury w potłuczonych szybach i topniały w bliskości ognia. Śnieg na podłodze rozpuszczał się niechętnie, a na ekranie falowały blade wykresy, opisane dziwnymi jednostkami. Krzyś położył dłoń na brzuchu kobiety.

— Rano już nic innego nie będzie miało znaczenia.

Okno otworzyło się gwałtownie, do izby wtargnął śnieg. Zimny wiatr pojawił się nie wiadomo

skąd, zaszumiał w koronach świerków. Krzyś wstał, domknął okno i poprawił uszczelnienie ze szmat. Dorzucił do ognia. Zapachniał żywiczny dym.

Zimno wdzierało się do izby wszystkimi możliwymi szczelinami. Płonące na środku ognisko ogrzewało twarze i wyciągnięte dłonie. Ziąb przenikał warstwę koców, kąsał w plecy. Siedzieli zakutani we wszystko, co mieli, wpatrując się na przemian to w płomienie, to w ekran komputera. Krzyś przeglądał swój zeszyt, gęsto zapisany równaniami matematycznymi. Klikał w klawiaturę, poprawiał linijki kodu, powiększał i pomniejszał zielone wykresy. Co jakiś czas zerkał na ziejącą czernią dziurę w ścianie, jakby się spodziewał, że znów z niej ktoś wylezie. Ktoś albo coś.

— Nie mogliśmy tego zrobić bardziej nowocześnie? — odezwała się Marysia. — Jakiś Goretex, czy coś...

— Wątpliwości nie pomagają — odparł poważnie Krzyś. — Wiedzieliśmy, na co się piszemy.

— Wiedzieliśmy, ale to ja mam urodzić. To do mnie przyszedł anioł.

— Anioł, taa... — Krzyś pokiwał głową. — Pamiętam, kiedy wyjeżdżałem na te wykopaliska. Niepokalane poczęcie...

— Czepiasz się o dwa tygodnie.

— O miesiąc. — Krzyś parsknął. — Miesiąc różnicy! Takie cuda...

— A w to wierzysz. — Marysia energicznie wskazała ekran. — Dlatego tu jesteśmy. Dla mitu, dla cudu. Żeby wreszcie zakończyć tę wojnę.

— Nie wiemy, jak to działa. Sama matematyka może nie wystarczyć. Musimy spełnić ileś warunków. A że nie wiemy dokładnie, jakie to są warunki, musimy spełnić ich więcej, na zapas. To tak jak z łapaniem piorunów. Nie wiemy, gdzie uderzy, ale może da się skusić miedzianym drutem.

— Ty chyba mylisz religie. Nie potrzebujemy tu syna Zeusa.

Krzyś westchnął ciężko.

— W naszym przypadku to trudniejsze. Ile parametrów trzeba odtworzyć i jak precyzyjnie? Nie wiemy. Dlatego róbmy wszystko jak należy.

Wygrzebał spod koców garnek, z plastikowej butelki nalał do niego wody i wstawił do żaru z boku ogniska. Pokroił kielbasę i cebulę. Zaczął obierać ziemniaki. Palce grabiły mu od zimna, ogrzewał je, niemal wkładając w płomień.

— Głowę ma jednak tam. — Marysia wskazała ręką zawiniętą w szmaty podłużny kształt. — Tak, jest taka obła. Obła jak głowa, nie jak stopy. Myślisz, że się zorientują, że TO zabrałeś?

— Zorientowali się wczoraj, może wcześniej.
— Krzyś wzruszył ramionami. — To bez znaczenia.
Trwa wojna, mają ważniejsze sprawy na głowie.

— Oni wiedzą. — W głosie Marysi brzmiała pewność. — Wiedzą i to jest dla nich ta ważniejsza sprawa. — Dotknęła brzucha. — To przesądzi o losach wojny.

Krzyś pokiwał głową.

— Żadna policja, żadne CIA ani Interpol nie znajdą nas do świtu — powiedział uspokajająco. — No i najpierw pójda wypytać księdza, a on pijany przecież. Zresztą on to powinien się cieszyć. Każdy proboszcz chciałby mieć cud w swojej parafii. A to będzie coś o wiele większego niż profil Matki Boskiej na mokrym tynku.

— Mam wrażenie, jakbyśmy przyzywali kogoś... ja wiem...? — Wzdrygnęła się. — Demona.

Krzyś pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Wrzucił kiełbasę i warzywa do gotującej się wody.

Nagle wydało im się, że słyszą pasterkę. Chwilę wpatrywali się w ciemność za oknem. Nie, to nie pasterka, to wiatr świszczął w szczelinach. Z pewnością było za daleko, żeby usłyszeć cokolwiek, co działo się w miasteczku. To musiało być coś innego, znacznie bliżej.

Marysia jęknęła cicho i dotknęła brzucha.

— Czuję, że to dziś — jęknęła.

Komputer piknął ostrzegawczo. Anteny obróciły się, wszystkie w tę samą stronę. Zielony wykres na ekranie zmienił kolor na żółty i zaczął się pięć w górę. Odczyty wzrastały. Krzyś odsunął mankiet i spojrzął na wyświetlacz zegarka – tam też cyfry migają alarmująco.

— Uda się. — Zacisnął palce na dłoni kobiety. — Na pewno się uda.

Zaczęło się wkrótce po północy. Trwało całą wieczność, a więc zdecydowanie krócej, niż przypuszczał Krzyś.

Pamiętał dobrze, jak przyjmował na świat swoich synów. Wszystkich trzech. To było przed wiekami, dawno, dawno temu, w czasach baśni, gdy na świecie więcej było światła, a rzeczy takie jak głód i wojna wydawały się czymś, co zdarza się w filmie, książce albo na żółtym pasku wiadomości, w kraju tak odległym, że trzeba sprawdzać na Google Maps, gdzie to dokładnie jest.

Otrząsnął się z tych myśli. Nie było już synów. Nie było ich matki.

Wydawało mu się, że i tym razem da radę, skoro poradził sobie już trzykrotnie. Tylko jego synowie przyszli na świat w sterylnej jasności szpitala, jakby byli ćmami, które z ciemności ciągną ku światłu. Nie mogli przecież wiedzieć, że to światło wkrótce spali ich dziecięce życia.

Oboje byli przygotowani, Marysia i on. Zawczasu przegotowali wodę, mieli kilka ręczników tak czystych, jak się dało, i buteleczkę spirytusu do różnorodnych zastosowań. W tej butelce pływała też nić z igłą zakrzywioną jak szpon drapieźnika. Podobno prawdziwa, chirurgiczna, tylko trzeba było pilnować, żeby pozostawała jałowa; Krzyś, mimo że jeszcze w mieście udzielono mu przyspieszonego instruktażu, miał nadzieję, że nie będzie musiał takich rzeczy używać.

Kiedy odeszły wody, miał pustkę w głowie, ruchy jego rąk były bezcelowe, i w pełni poczuł swą bezużyteczność. Bo tak naprawdę do tej pory podczas porodów nie musiał niczego robić. No, niczego prawdziwie pożytecznego. I chociaż niby wiedział co, kiedy i jak, to teraz nie mógł przypomnieć sobie zupełnie nic.

Żałował, że uległ Marysi, że nie zostali w mieście. Tam przynajmniej mogliby liczyć na pomoc położnej, a może nawet na przyjęcie do szpitala.

Mimo trwającej już drugą dekadę wojny miasta zachowywały pozory normalności. Tutaj mógł liczyć jedynie na szabrowników, którzy niechybnie się zjawia, gdy tylko się zorientują, że ktoś przebywa w starym dworze. Albo jeśli rozpowie o nich ten gówniarz od akumulatora.

Potem jednak uświadamiał sobie, że gdyby tej nocy dziecko przyszło na świat w mieście, zostałyby im natychmiast odebrane. Zawsze znajdzie się ktoś, kto doniesie władzom.

Dziecko przychodziło więc na świat w opuszczonych ruinach, w jedną z najkrótszych nocy w roku. W bardzo szczególną noc. Tak, jak sobie zaplanowali zaraz po tym, jak do Marysi przyszedł anioł.

Pożałował tej decyzji, ledwo usłyszał pierwszy jej krzyk. To bardzo skutecznie sprowadziło go na ziemię. Cały świat skurczył się do tego pokoju na piętrze, ciemnego i zimnego, mimo ognia rozpalonego pośrodku. Od dziury w ścianie wiało, w nieczynnym od dawna kominie świstał wiatr, ziąb pełzał po podłodze. Krzyś otoczył Marysię silnymi ramionami i przysunął bliżej ognia, tak, aby było jej jak najcieplej. Coś wyło i szeptało. Pewnie te przeciągi.

Anioły, też coś.

Wieczność minęła pędkiem. Dobięła swego kresu, gdy już świtało. Nie trzeba było używać igły i nici ze spirytusu. W pokoju pachniało chłodem i krwią. Ogień dogasał, choć Krzys nieustannie dorzucał do niego połamane meble i wszystkie kawałki drewna, które tylko mógł znaleźć. Z klepek parkietu jednak zrezygnował, bo choć paliły się długo i dobrze, to śmierdziały impregnatem, i Krzys obawiał się, że wszyscy potrują się jakimiś oparami. Bał się zwłaszcza o maleńkie życie wtulone w pierś ogłupiałej z wyczerpania Marysi. Życie o pomarszczonej, jakby gniewnej, buzi i zaciśniętych piąstkach.

Nie miało znaczenia, jeśli cały plan wziął w łeb. Może coś źle policzył, nie uwzględnił jakichś zmiennych. Jeżeli coś poszło nie tak, to z pewnością była to jego wina, bo matematyka jest nieomylna. Nie miał jednak pojęcia, gdzie mógł się pomylić. Ani on, ani Marysia nie przewidzieli takiego obrotu spraw, wydawał im się zbyt nieprawdopodobny.

Nie poruszył tego tematu z Marysią; poczuł, że to głęboko niestosowne. Długo obracał w głowie myśli, zastanawiając się, jak je sformułować, aby nie wydały się zbyt obcesowe. Wypowiadał je do siebie półgłosem, zmieniając pewne słowa albo próbując inaczej rozłożyć akcenty. Za każdym razem brzmiało to tylko gorzej. W końcu więc nie powiedział nic.

Zabrał się do podgrzania kielbasy z cebulą i pieczenia nad ogniem zeschniętego chleba.

Otulił kocem Marysię, pogrążoną w niespokojnym śnie. Potem niezgrabnie pogłaskał po głowie swoją córkę.

Cały dzień upłynął na karmieniu, przewijaniu i praniu płóciennych chust, mających służyć za pieluszki. Wydawało się, że zabrali ich z miasta całkiem sporo, ale to i tak okazało się za mało. Teraz więc suszyły się tuż nad ogniem.

Co rusz wydawało się Krzysiewi, że ktoś chodzi po ogrodzie, zabierał więc ze sobą siekiere i szedł sprawdzić. Nie znajdował jednak nic, nawet śladów, co jednak o niczym nie świadczyło, bo śnieg sypał gęsto od samego rana. Wracając, uważnie przyglądał się podłużnemu kształtowi, który z dużym trudem przynieśli tu ze sobą, lecz ten pozostawał nieruchomy. I nadal nie sposób było orzec, gdzie ma głowę. Może zresztą w ogóle było to źle przyjęte założenie i nie potrzebował on czegoś takiego jak głowa. Nie było też jak sprawdzić, czy spełnił swoje zadanie. Nie wyjaśniło się nic, efekt ich planu pozostawał nieznanym.

— Przestań już tak łązić i łązić — mruknęła Marysia koło południa, i były to pierwsze słowa, które do niego wypowiedziała.

— Zjedz coś.

— Nie jestem głodna.

— Ale ona jest.

Marysia niechętnie przełknęła kilka kęsów kiełbasy, przegryzła przypieczonym na brązowo chlebem i popiła ciekłą herbatą, po czym jak najdokładniej zawinęła w koc siebie i dziecko. Obie były osobnym światem, do którego nie miał dostępu nikt, wliczając w to nawet anioły. Krzyś pozostawał na zewnętrznej orbicie.

Rozumiał to. Nie pierwszy raz został ojcem. Tak to musiało wyglądać. Może w dawnych czasach pokoju i dostatku wszystko byłoby inaczej. Ale nie ma się co zastanawiać nad tym, co by było, gdyby było inaczej. To zajęcie dla głupców.

Tej nocy Krzyś, wyczerpany wysiłkiem i napięciem, osunął się wreszcie w płytki sen pełen dziwnych majaków. W tym śnie przyszedł do niego anioł. Wyglądał jak upostaciowiona myśl i miał niezliczone oczy.

— Krzysztofie, Krzysztofie, nim upłynie kolejna noc, upomną się o dziecko. Wstań, weź dziewczynkę i jej matkę i uchodź czym prędzej w miejsce, które ci przygotowano, i pozostań tam, aż ci powiem.

Zbudził się, zdziwiony, jak straszne głupoty mogą się człowiekowi zalęgnąć w głowie. Wszystko przez dziwne widzenia Marysi. Począł, aż rozgonione serce uspokoi się nieco. Marysia i dziecko spali, ich spokojne oddechy zmieniały się w kłębki pary.

Drzwi do ogrodu trzasnęły, a w sieni na dole dało się słyszeć kroki.

Ostrożnie ruszył w dół. Schody skrzypiały, zagłuszając wszelkie inne odgłosy. Nie był to dźwięk wysuszonego drewna, które każdej zimy ogrzewane jest przez piec. Takie schody i podłogi rozmawiają z domem, przenoszą jego muzykę i drgania. Drewno opuszczonego domu było martwe i głuche. Z każdym krokiem Krzyś zapadał się w zbutwiałą tkaninę, a trzeszcząca konstrukcja ostrzegała przed zawaleniem, jakby czekała na spełnienie się proroctwa. Musiał schodzić ostrożnie, uważając, by stopa nie zapadła się w rozpulchnionych przez wilgoć stopniach. Czuł, jakby brodził w bagnie, zanurzając

się głębiej i głębiej, owładnięty przez podziemny zapach pleśni. W nikłym świetle, które oszczędzał, ukazywały się cienie, tańczące na ścianach. Tralki przemykały pod sufitem niczym stłoczeni, uciekający ludzie. Co chwila przystawał, jakby chciał dać szansę temu, kogo słyszał z góry. Nasłuchiwał ciszy, czekając, kiedy przyczajony gość się ujawni. Zastygał na kolejnym stopniu, czekając, by intruz wyszedł z cienia. Nic jednak nie zakłócało spokoju porzuconego domu. Wreszcie dotarł na parter i stanął bezradnie. Poczul się samotny i opuszczony, a śpiąca na piętrze Marysia wydawała się odległa i niedostępna. Miał wrażenie, jakby wyruszył na wyprawę wiele godzin, wiele dni temu, jakby wydarzenia ostatniej nocy były wyblakłą przeszłością. Zawładnęła nim terażniejszość i strach, że ktoś chce zakłócić spokój w ich schronieniu. W sieni jednak nikogo nie było. Omiótł światłem całe pomieszczenie i dopiero drzenie blasku na ścianach uświadomiło mu, jak bardzo się boi. Być może przybysz skrył się w jednym z pomieszczeń i teraz wyczekuje odpowiedniego momentu, by go zaskoczyć? Dlaczego jednak miałyby zaskakiwać? Co mogło w zimową noc przyznać kogoś do porzuconego na pustkowiu budynku, który z każdym rokiem zdawał się oddalać coraz bardziej od ludzkich siedzib,

jakby chciał popaść w zapomnienie, ukryć się przed cudzym wzrokiem, zlać swoją szarość z szarością krajobrazu?

Przestąpił próg izby i zanurzając się w chłodny mrok, zakrzyknął: Oto jestem!, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Słowa wybrzmiały, uci-chły i po chwili spowiła go niczym nienaruszona cisza. Oblizął światłem ściany. Farba odchodziła wielkimi płatami, zostawiając po sobie rozległe liszaje, których kształty przypominały pokraczne, przygarbione sylwetki. Spod zmęczonej bieli wyła-ziły dawne warstwy, teraz w brudnych cynobrach, a z samego dna, jakby świadectwo najdawniejszych dziejów domu, wyglądał blady błękit z białym rzutem malowanych wałkiem kwiatów. Krzysiewi zdawało się, że dom wraca do czasów swego dzie-ciństwa, że zrzuca kolejne warstwy w jakiejś bez-nadziejnej próbie zawrócenia prądów przemijania. W rogach i pod sufitem wykwitły kolonie pleśni, białe i niebieskie, ostrzegające złowrogimi zarod-nikami przed swą śmiertcionołą toksycznością. Wszędobylskie podmuchy wiatru, wciskające się każdą szczeliną, poruszały zwisającymi gronami zakurzonych pajęczyn, pełnymi much i ciem, jakby kołysząc martwe insekty do wiecznego snu. Jeśli dom był kiedyś bogaty, to z jego świetności nic nie

pozostało. Wszystko, co dało się wynieść, zostało wyniesione, przez lata ruchome elementy wykradziono w sposób tak naturalny i niezauważalny, że rany po żyrandolach, meblach i sprzętach zdążyły się zabiźnić i pokryć kurzem, jakby w pomieszczeniach nigdy nic nie stało, jakby od samego zarania były puste, niezasiedlone. Teraz były tylko cementarzyskiem, pełnym niewypowiedzianych wspomnień i utajonych dramatów, lecz Krzyś był pewien, że poza nim na dole nie ma nikogo. Wyswobodzając się z uścisku lęku, obszedł wszystkie pokoje, światłem wypłaszając cienie z kątów i z każdym krokiem odzyskując spokój.

Dźwięki, które z początku wydawały mu się krokami, były zwykłymi odgłosami domu, graniem osiadających bali i trzeszczących legarów, pomrukami zapadającego się, dogorywającego domostwa, które – dawno już pozbawione ducha – jeszcze poruszało się nieznacznie, trącane przez świat i jego żywioły. Zgasił światło i zaczął nasłuchiwać. Wydawało mu się, że w ciemności jego słuch się wyostrza i otwiera na mowę starego budynku. Nad jego głową spała Marysia i niemal czuł jej spokojny oddech, stopiony w jednym rytmie z oddechem dziecka. Trzeszczały ściany i okiennice, gdzieś pod jego stopami toczyło się skryte życie, drażące

podziemne korytarze, w których nigdy nie będzie światła. Krzyś wyobraził sobie zagnieżdżoną pod podłogą rodzinę polnych myszy, od pokoleń uczującą w tę zimową noc i rozkoszującą się zgromadzonymi w ciepłe miesiące zapasami. Widział komory pełne nasion, pracowicie naniesione przez ruchliwe gryzonie, wydawało mu się nawet, że pomiędzy ziarnami pszenicy spoczywa cicho pierścień, który wiele lat temu spadł z czyjegoś palca i potoczył się pod jakiś mebel, by w końcu, przyciągany przez nieubłagane prawo ciężenia, przecisnąć się przez szczeliny podłogi i opaść w czarną ziemię, królestwo mysiej rodziny. Nieprzydatny i zaśniedziały, nigdy już nie zabłyśnie, nie ucieszy niczyjego oka.

Nagle Krzyś znieruchomiał, gdyż jego ucho wyłowiło obcy dźwięk, nieprzynależący do starego domu, zupełnie inny od głosów rozkładu i powolnego, bezlitosnego obumierania. Był to przerywający sen płacz jego nowo narodzonej córeczki, który nie zdążył rozkwitnąć i całkowicie zburzyć ciszy, wnikając w każdy kąt i kryjówkę, płosząc ludzi, myszy i drzemiące pająki, wyrywający zimowy świat ze snu i odbierający ludziom spokój i poczucie bezpieczeństwa, gdyż został w porę zduszony pełną, matczyną piersią. Płacz przeszedł w kwilenie, a kwilenie w spokojną ciszę.

I wtedy to poczuł. Dom mówił do niego, wszystkie chroboty i trzaski były mową w tajemnym, martwym języku, która chciała Krzysiovi coś przekazać. Nie były to słowa i zdania, lecz pomruki i perswazje, trafiające prosto w duszę, jakby rozum, odkrywający sensy i znaczenia, był tu doskonale zbędny. Dom umierał, ale jeszcze żył, jeszcze przemawiał. Krzyś czuł, że ściany do niego mówią, że jest otoczony przez dźwięki, których sprawcą jest wola dużo silniejsza niż jego, która potrafi panować nad ludzkim strachem i rządzić nim tak lekko, jak lekko kołysały się pełne insektów pajęczyny. Dom domagał się czegoś i osaczał Krzysia. Krzyś był otoczony i wydawało mu się, że ściany zbliżają się, że spowijają go ciasno niczym całun. Z trudem poruszył się, jakby chwilowe znieruchomienie stopiło go z substancją domu i uczyniło jego częścią. Najpierw poruszył rękami, chcąc odegnać napierające ściany, które jednak nadal stały na tym samym miejscu, w tej samej, pełnej zimnego dystansu odległości, jak pluton wojska, który tylko czeka na rozkaz. Potem postawił pierwszy krok, i następny, aż dotarł do sieni i mozolnie, brnąc przez zbutwiałe schody, czepiając się poręczy i ścian, dotarł na górę.

Dotarł do pomieszczenia, w którym zostawił Marysię, i zatrzasnął drzwi, jakby to mogło w czymś

pomóc. Białe, złuszczone skrzydło ruszyło z jękiem w stronę futryny, po czym wróciło, zatrzymując się w połowie. Marysia leżała otulona wszystkimi kocami i swetrami. Widać było tylko oświetloną przez ogień w palenisku twarz, ciepłą i skupioną, marmurkowaną niebieskimi żyłkami pierś i główkę dziecka, które spokojnie jadło. Na chwilę Krzyś uwierzył, że wszystko jest w porządku, że cienie z dołu nie mają tu dostępu, że to, co zostawił na schodach, to było tylko złudzenie. Ale wtedy znów usłyszał ten sam głos, mowę bez słów odnajdującą drogę prosto do jego serca. Chciał ostrzec Marysię, lecz nie wiedział, jak to zrobić.

— On żyje — powiedział w końcu, wskazując na ściany, podłogę i sufit. — I chce zabrać naszą córeczkę.

Marysia spojrzała na niego ze smutnym spokojem:

— Wiem. Przecież po to tu przyszliśmy.

— Ale on ją zabierze!

— Tylko tak można zakończyć to zło.

— Poświęcając niewinne dziecko?!

— Nie ma innego sposobu, naprawdę nie ma...

Wiedział, co musi zrobić. Opierała się, kiedy wyrwał jej noworodka, krzyknęła i schowała pierś.

A potem wstała i ruszyła za nim, wolno, przystając i zaciskając zęby z bólu. Kiedy wyszli na mróz, próbowała tłumaczyć, że trzeba, że muszą, ale on szedł w noc, brnąc w śniegu i wytyczając drogę. Każdy krok był wysiłkiem, zasy pyły stawały opór. Próbowała go dogonić, idąc złością przez niego koleiną, między suche drzewa martwego sadu, coraz dalej od domu, który mrucał i wkręcał się w myśli. Zostawiali go za sobą, perswazje były coraz cichsze, wreszcie stały się szumem pozbawionym sensu, zło-wrogim buczeniem szerszenia, który z pasją atakuje szybę, nie mogąc się dostać do środka.

Drogi i nocy nie było końca. Wreszcie, na skraju lasu, znaleźli szopę na siano. W ciszy, która ich otuliła, Marysia uspokoiła się. Kontur budynku majaczył w oddali, wpływ złego domu malał z każdą chwilą, pozbywała się go z każdym oddechem. Krzyś wyrwał kilka desek, połamał je na kolanie i rozpałił ognisko. Siedzieli, przytuleni, w samym środku nocy i patrzyli w dal.

Nagle nad miasteczkiem, które skryło się na skraju horyzontu, coś rozbłysło, raz i drugi. Po chwili dotarł do nich huk, a potem seria następnych.

— Mówiłam? — szepnęła Marysia. — Straciliśmy jedyną szansę, żeby to zakończyć.

— Zaczekaj!

— Niedługo wszyscy i tak zginiemy.

— Zaczekaj — powiedział, kładąc jej chłodny palec na ustach. — Słyszysz? To nie wystrzały.

Kolorowe pióropusze rozświetliły niebo. Po śniegu, przez puste pola, niosły się pełne radości dźwięki muzyki.

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Copyright © 2023 by Justyna Hankus, Rafał Kosik, Radek Rak,
Wit Szostak

Copyright © 2023 by Powergraph

Copyright © 2023 for the cover by Jan Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt okładki i ilustracja: Jan Kosik

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel.: +48 22 834 18 25

powergraph.pl

e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-67845-29-8